

NORBERT
ZIELIŃSKI



JERA

Norbert Zieliński

JERA

Tytuł: Jera

Autor: Norbert Zieliński

Korekta: Grażyna Dobromilska

Opracowanie graficzne okładki: Norbert Zieliński

Skład: InkPad

Copyright © Norbert Zieliński

ISBN 978-83-953611-1-1



Poznań, 2019

Spis treści

Rozdział 1	1
Rozdział 2	6

Rozdział 1

Nad miastem szalała burza przepelniona złem. Błyskawice rozdzierały nocne niebo, a deszcz lał się strumieniami, zmywając ślady zbrodni. Tej nocy nie należało opuszczać bezpiecznego schronienia. Noce jak ta przynosiły tylko strach, cierpienie i zagładę. Ci zaś, którzy o tym nie wiedzieli, kończyli okaleczeni lub martwi.

Ciężarna kobieta leżała porzucona w brudnej, wyludnionej części miasta. Jej nadęty brzuch poruszał się, choć ona sama nie żyła już od kilku godzin.

Z łona umarłej wypełzła szkarada — potwór, który miał być kolejnym niewinnym życiem, lecz na skutek okrucieństwa stał się jednym z najpotężniejszych stworów ze wszystkich światów, kreaturą zrodzoną ze zła, by dalej czynić zło...

*

Aura usiadła na prowizorycznej ławeczce, tuż obok starego człowieka.

Stary człowiek nazywał się Toin. Wygrzewał właśnie kości w gorących promieniach słońca i ze szczytu wzgórza śledził powolny ruch drzew smaganych wiatrem.

Toin był człowiekiem niezwykłym i to właśnie oznaczał jego przydomek w bardzo starej mowie, której nikt już nie używał. Mężczyzna imię nadał sobie osobiście i sam już nie pamiętał, jak brzmiało jego prawdziwe.

Unikalność starca leżała w nietypowych mocach, zwanych potocznie w Równinach darami. Jednym z owych darów było powolne starzenie się. Oznaczało to tyle, iż jeśli ktoś go nie zabije, może dożyć on nawet setek lat.

Nadzwyczajny jednak czy nie, nadal był człowiekiem z krwi i kości, w dodatku z siedemdziesiątką na karku. Takiego wieku w Równinach dożywali bardzo nieliczni. Jeżeli więc nie łapał słońca z powodu bólu kości, to przynajmniej dlatego, że tak wypadło.

Kiedy Aura przycupnęła na drewnianej ławce przed chatą, wyostrzył zmysły. W obecności dziewczynki robił się niespokojny. Patrzyła na niego słodkimi, błękitnymi oczyma. Chciałby, żeby taka pozostała na zawsze. Niestety, to nie wchodziło w rachubę. Była córką jego siostrzeńca Teda oraz Miliany — pierwszej i... dość przypadkowej miłości młodzieńca. W chwili poczęcia dziecka posiadali dary. Toin wiedział, że z takich związków powstają niezwykle twory, ale Aura była najbardziej niesamowitym przypadkiem, jaki napotkał.

Już na pierwszym spotkaniu opowiedziała mu o rzeczach, o których on dowiadywał się przez całe życie. Często znikwała na długie godziny i nikomu nie zwierzała się ze swoich planów. Rodzice uważali ją za dziecko demonów, jakże niemądrze. W końcu sami ją spłodzili. Z pewnością jednak było w niej coś, co podsycalo w ludziach lęk. Nawet w Toinie, a niewiele rzeczy potrafiło go już przestraszyć. Twierdziła, że ma wiele imion, zaś z kimś, kto ma wiele imion, należy się liczyć.

— Jest człowiek — rzekła. — Musimy mu pomóc.

Spojrzał na nią uważnie. Najwyraźniej tajemnica samotnych wędrówek wkrótce miała zostać rozwiązana.

*

Umarł. Tak mu się przynajmniej wydawało. Jeszcze przed chwilą czuł, tam w pociągu, jak serce kończy pracę, a jemu brakuje tchu.

Panowała ciemność. Nie taka, jaką widzi się w nocy przed zaśnięciem, lecz czern prawdziwa, przez którą nie przenika zupełnie nic. Myślał, miał świadomość, więc pewnie umarł i trafił tam, gdzie ląduje się po śmierci.

Nagle Jan stwierdził, że może otworzyć oczy. Zrobił to i szybko zamknął je na powrót, oślepiony ja-skrawym światłem. Zmusił powieki do współpracy. Znajdował się w małym pokoju, ba, pokój był w tym momencie złym określeniem. Pasowałoby tu raczej słowo: cela. Wszystko wokół pomalowano na biało: ściany, sufit i łóżko, będące jedynym meblem. Podłogę wyłożono białym dywanem. Nie było krat, lecz drzwi z zasuniętym otworem.

Jan popatrzył na siebie. Był ubrany w to, w czym wsiadł do pociągu, ale w pokoju nie znalazł swojego bagażu. Pozbawiony został też telefonu, portfela i mp3. Spojrzał na ręce, pomacał twarz. Chyba wyglądał tak samo.

Nie bardzo pamiętał, co zobaczył w pociągu, jedynie to, że przeraził się... na śmierć. Ale teraz nie był już pewien.

Zauważył szczelinę pod drzwiami. Uklęknął, by zerknąć. W tym samym momencie szparę przeciął cień. Zaskoczenie odrzuciło Jana pod samo łóżko. Omal nie wrzasnął z przerażenia, lecz pozostał cicho. Cień pojawił się znowu. Szczęk klucza w zamku przerwał ciszę i drzwi uchyliły się lekko z metalicznym zgrzytem.

Co teraz? — pomyślał. Ktoś wyraźnie chciał, by opuścił pokój. Tylko, czy była to zachęta, czy raczej preludium do czegoś strasznego?

Wyszedł ostrożnie. Korytarz, tak jak pokój, udekorowano bielą. Przejście pozostawało puste, lecz przecież przed momentem ktoś tu był! Jan ruszył przed siebie i mijał wiele drzwi, ale wolał ich nie otwierać. Trafił na szklane schody, w żaden sposób ze sobą nie połączone. Zupełnie jakby lewitowały.

Żałował, że nie ma przy sobie niczego ciężkiego. Albo ostrego. Nadepnął na pierwszy stopień. Nieznacznie opadł on pod naporem. Drugi tak samo. One naprawdę wiszą w powietrzu — zdumiał się Jan.

Wspinaczka zaprowadziła Jana do obszernego salonu. Ładnego, acz niezbyt nadzwyczajnego. Na środku stały: szklana ława, kanapa, fotele. Z boku półki i telewizor. Wszystko białe i sterylne. Jedną ścianę wyłożono wielkimi oknami, za którymi ciągnęły się łąka i las.

Ale największą uwagę Jana przykuła dziewczynka, najwyżej dziesięcioletnia. Była śliczna i słodka: czarnowłosa, o wielkich, niebieskich oczach. Nosiła białą sukienkę na ramiączkach. Bawiła się lalkami ubranymi w białe stroje, mieszkającymi w małym, białym domku.

— Możesz wyjść. Pozwalam ci — powiedziała dziewczynka, nie podnosząc wzroku. Zaczęła nucić lalkom mroczną melodię. — Tylko nie jedź windą, jest zajęta. Musisz zejść trzy piętra niżej. Pospiesz się, jeśli nie chcesz na Nią trafić.

— Kim jesteś? Co tu się dzieje? — zapytał stanowczo.

— Moje imię to Mona. W każdym razie Ona mnie tak kiedyś nazwała.

— Ona? O kim wciąż mówisz?

— Ta, która cię tu przywiodła. To moja matka.

Tuż po tych słowach twarz dziecka pobladła, a oczy zaszyły czernią.

Ciało mężczyzny przeszył dreszcz. Odwrócił się i ruszył biegiem po schodach, czemu towarzyszył złowieszczy śmiech dziecka. Pobiegł wzdłuż korytarza, który nagle zrobił się dłuższy niż chwilę wcześniej. Przy schodach widniały drzwi do staromodnej windy. Przystanął na chwilę. Mona mówiła, żeby jej nie używać. Tyle tylko, że ta mała była nienormalna. Może jej „matka” czeka właśnie na schodach?

Wsiadł do windy i nacisnął P. Rozdygotany patrzył, jak wskazówka z 3 przesuwają się na 2. Nagle na ramię spłynęła mu kleista maź. Spojrzał do góry i wstrzymał oddech. Sufit pokrywała pomarańczowa błona z płynem, w nim zaś pływał tuzin niehumanoidalnych stworzeń. Opadł na podłogę, trzęsąc się ze strachu. Jeden z potworów rozdziawił paszczę, wydając przy tym ohydny okrzyk. Stworzenie wyciągnęło rękę i przebiło błonę. Po chwili wystawiło również łeb.

W tym samym momencie dzwonek oznajmił parter. Jan wybiegł na hol jak strzała. Dopadł oszklonych drzwi i wydostał się na zewnątrz.

Bliski płaczu rozejrzał się dokoła. Stał na szczycie wzgórza, u jego podnóża zaś leżały błonia oraz... miasteczko. Prowadziła do niego polna dróżka. Nie zastanawiając się wiele, Jan ruszył w stronę osady.

*

Lipiec w tym roku zaczął się wyjątkowo przyjemnie. Promienie słońca oblewały twarz, a wiatr neutralizował gorączkę. Takie lato Jan lubił najbardziej. Kiedy z ciężką walizką wychodził z bloku, uśmiechał się.

Z pozytywnym nastawieniem podszedł do żony i synka obejmującego szyję matki.

— Ostatnia! — powiedział uradowany, podnosząc lekko bagaż.

Taksówkarz przejął walizkę i Jan wolne w końcu dłonie położył Laurze na ramionach.

— To głupie, że nie mogę jechać z tobą na dworzec — rzekła kobieta.

— To głupie oddawać Szymona twojej matce, kiedy jest chora — odparł i poklepał rocznego synka po plecach.

— Nie wierzę, że pozwalam ci jechać — westchnęła Laura. — Przecież to miesiąc!

— A ja jestem ci wdzięczny, że mi pozwalasz. Ta praca to spełnienie moich... No, marzeń to ja takich nie miałem, ale to na pewno kluczowy moment w mojej karierze. Moje obrazy na wystawach w czterech miastach Europy! Na takich spędach kręci się mnóstwo snobów, którzy dobrze płacą. Prawdopodobnie więcej, niż

zarobiłem do tej pory na wszystkich moich obrazach razem wziętych. Zbudujemy sobie prawdziwy dom. Poślemy Szymona do dobrej szkoły. Sami zrobimy z siebie snobów. — Mrugnął do żony. — No, chyba że gówno zarobię. Wtedy dostaniesz matrioszkę z Moskwy.

— I tak chcę matrioszkę.

Roześmiał się.

— Masz to jak w banku.

Chciał mówić dalej, ona jednak machnęła ręką i przerwała:

— Posmakujesz europejskiej bohemy i wrócisz za pół roku. Nie podoba mi się to.

— Jeżeli tak, przyjedziecie do mnie. Miesiąc to niedługo. Nie żyjemy w renesansie. Jest Internet, telefon. A może wysłać ci list miłosny jak artyści kiedyś? — Zaciśnął dłonie na talii Laury. — Kocham cię — powiedział z powagą, a potem spojrzął na zegarek. — Cholera, prawie dziesiąta. Za czterdzieści minut mam pociąg. To co, żegnamy się?

Laura odpowiedziała mu długim, ciepłym pocałunkiem.

Jan wziął jeszcze synka na ręce, pomówił do niego chwilę i na koniec przytulił. Kochał tego brzdąca. Był jakby... przedłużeniem jego własnego żywota, małym człowieczkiem z jego krwi. Tworzył sztukę i to całkiem niezłą, ale prawdziwym arcydziełem była jego rodzina. Sama myśl, że mógłby ich stracić, zakrawała na szaleńczą.

Odchodząc, Jan jeszcze raz rzucił w ich stronę „kocham was” i wsiadł do taksówki.

Laura ze smutną miną obserwowała odjeżdżającego męża. Wróciła do domu. Na klatce schodowej minęła ją dziewczynka z długimi czarnymi włosami i wielkimi oczami koloru topazu. Biała sukienka powiewała za nią subtelnie. Kobieta zmarszczyła brwi. Nie pamiętała takiej w swoim bloku. Obejrzała się, ale małej już nie było.

Przez jego głowę przewijała się tylko jedna myśl: biegnij! Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale stracił dwadzieścia minut z życia i gdyby nie pośpiech, zacząłby podejrzewać chorobę psychiczną.

Zdażyć! Zdażyć! Panika rosła. Biegł najszybciej jak mógł. Gardło piekło nieznośnie, plecak ciążył na ramionach, a walizki stawały się coraz cięższe.

Trącał ludzi, niejedni wykrzykiwali wulgarne komentarze. Ostatni odcinek: schody. Pokonał je, przeskakując po trzy naraz. Znalazł się na ziejącym pustką peronie.

Dopał do pociągu i wrzucił bagaże. Pojazd ruszył. Jan z podwyższonym ciśnieniem wgramolił się do środka i padł na kolana. Oddychał ciężko i miał gdzieś, czy go ktoś na klęczkach zobaczy. Obiecał sobie, że wygarnie konduktorowi odjazd z wsiadającym w drzwiach.

Otarł pot z czoła i wszedł do pierwszego wagonu, który, mimo iż czysty, śmierdział stęchlizną. Otworzył okno i zaczerpnął świeżego powietrza. Poczul się lepiej.

Targając walizy, przeszedł cały wagon i w żadnym z przedziałów nie zauważył żywej duszy. W następnym to samo i nawet w bezprzedziałowym ziało pustką.

Czyżby wsiadł do złego pociągu? To byłoby gorsze, niż miałby zostać na dworcu. Teraz nawet nie wie, dokąd jedzie.

Chwycił klamkę kolejnych drzwi i nagle w szybie ujrzał niewyraźny kształt, bynajmniej nie ludzki.

Twarz mu stężała. Serce zabiło mocniej, w klatce piersiowej poczuł ból. Powoli się odwrócił. Stanęli naprzeciw siebie. Dwie postacie, które w przyszłości miały stoczyć nienawistną walkę.

Jan stracił przytomność.

Tak oto trafił do świata Jery.

Rozdział 2

Podczas zejścia do miasteczka tylko raz odwrócił się, aby spojrzeć na dom. Była to wielka rezydencja z białego budulca. Wyglądała imponująco, lecz tylko, jeśli oglądać ją z zewnątrz. On widział dość, by wiedzieć, że nie dzieją się tam miłe rzeczy. Z drżeniem wyobraził sobie piwnice wypełnione potworami i małymi dziewczynkami śmiejącymi się odrażająco.

Dotarł do przedmieścia. Na werandzie jednego z domków zobaczył dziewczynę, Azjatkę. Medytowała. Podbiegł do niej.

Usłyszawszy kroki, dziewczyna otworzyła oczy. Uśmiechnęła się promiennie.

— Witaj...

Nagle zdała sobie sprawę, że nie zna tego wysokiego, zdezorientowanego bruneta. Zmierzyła go czujnie wzrokiem i zapytała:

— Jesteś stąd?

Janek pokręcił głową. Złapał Azjatkę za ramiona i prawie wykrzyczał jej w twarz:

— Musisz mi pomóc. Błagam! Nie wiem, co się dzieje. Wszedłem do pociągu, a potem znalazłem się tutaj. To znaczy... W tamtym domu. — Wskazał na rezydencję i w tej samej chwili w oku dziewczyny dostrzegł błysk. — Tam coś jest. Dziewczynka i... prawie narodzone potwory! Macie tu telefon, Internet, telegraf, cokolwiek?!

— Jest poczta komputerowa, ale działa tylko między mieszkańcami wioski. A tam, tam mieszka Jera, założycielka miasteczka. To nasza przyjaciółka i przewodniczka.

Jan puścił nieznajomą jak poparzony. *Przyjaciółka i przewodniczka...* Przyjrzał się dziewczynie raz jeszcze. Jej zachowanie, nieprzerwany uśmiech... to wszystko było... sztuczne. Wymuszone. Nieprawdziwe.

— Co tu się dzieje?! — wrzasnął. Łzy napłynęły mu do oczu.

— Janie! — wykrzyknął ktoś z boku.

Od strony miasta mknęła ogromna grupa ludzi z Jerą na czele.

Nie miał wątpliwości, że to Jera. Sunęła pierwsza, podczas gdy reszta jakby chowała się za jej wielkim ciałem. To ją zobaczył w odbiciu. Jawiła się jako istota ohydna i przerażająca. Do połowy była węzem o oślizgłej skórze; ogon wił się trzy metry za nią. Od pasa w górę przypominała kobietę. Skórę miała brązową i zrogowaciałą, brzuch płaski, piersi obwisłe, ręce chude, z wielkimi, szponiastymi dłońmi. Długą szyję wieńczyła łysa, pozbawiona uszu głowa. W miejsce oczu widniały żółte oczodoły, a wargi stanowiły wąskie kreski. Zamiast nosa miała dwie cienkie dziurki, które zamykały się i otwierały na przemian niczym skrzela.

Jan był pewien, że umrze ze strachu. Powinien wręcz, a jednak nadal patrzył na potwora, który dla zdrowych na umyśle nie miał prawa istnieć. Upadł mimowolnie. Mieszkańcy i potwór pojawili się nad nim. Wyglądali na zaciekawionych i lekko oszołomionych.

— Jan najwyraźniej doznał szoku po przybyciu — zwróciła się do nich Jera. Miała gruby, ale bez wątpienia kobiecy głos. — Przemiana nie została dopełniona. To się czasami zdarza. Pamiętamy przecież wszyscy przypadek Noriko.

Jak jedna armia spojrzeli na Azjatkę. Uśmiechnęła się zawstydzona i spuściła głowę.

— Już ci lepiej, prawda? — zapytała Jera Jana.

Patrzyła mu prosto w oczy. Jej jarzyły się blaskiem. Niemal krzyczały: Powiedz tak!

— Tak — wykrztusił Jan.

Poczuł, jak dwóch mężczyzn podnosi go i dokądś prowadzi. Pozwolił na to. W tej chwili opuściła go wszelka wola walki. Mijając Jerę, spojrzął na nią i w żółtych ślepiach dostrzegł triumf.

Jera odwróciła głowę i popatrzyła na poważną Noriko.

— Nie idziesz przywitać nowego mieszkańca? — zapytała głosem przesiąkniętym czułym jadem.

— Zrobię to później — odparła, skłoniła się lekko i zmusiła do uśmiechu.

— Słusznie. Ty jak nikt inny wiesz, co ten człowiek teraz czuje — odparła Jera po namyśle i posunęła ku domowi.

Uśmiech spelzł z twarzy Noriko. Odprowadziła wzrokiem założycielkę, a potem popatrzyła na osaczonoego przez ludzi Jana. W jej sercu pojawiła się wreszcie nadzieja.

Zaprowadzili go do małego domku ulicę dalej.

Wszystkie budynki wyglądały niemal identycznie, różniły się tylko kolorami. Nie było administracji, nie było osiedli, samochodów ani butików. Również dróg nie było, jedynie te, które mieszkańcy sami wydeptali. Zupełnie jakby ci ludzie osiedlili się tutaj, nie mając żadnych potrzeb.

Posadzili go na wysokim stołku w kuchni. Obserwował osoby krzątające się wkoło niego. Odziani w czerń, z nienaganną prezencją robili wrażenie robotów. Bał się ich. Słuchał tego, co mówili, i nie wierzył własnym uszom.

— Sklep znajduje się w centrum, kochanie — powiedziała do niego pulchna kobieta, która nazywała się Rogalik albo Rogalińska. Miała ten sam wymuszony uśmiech, co wszyscy inni.

Jan mógł się tylko domyślać, jakie złośliwości przewijały się w jej myślach.

— W salonie jest komputer. Zawiera wszystko, czego byś chciał: muzykę, programy... oprócz gier, bo gry to zło — powiedziała następna kobieta, tym razem wysoka i chuda. Stała obok grubej Rogalik/ińskiej, dlatego Jan łatwo zauważył, że wyglądają jak żywe przeciwieństwa. — Jestem pani Scholegeztermann, bibliotekarka. Jakbyś się bardzo nudził, zajrzyj tam. Można dowiedzieć się wielu ciekawostek...

— Od dowiadywania się jestem ja — powiedział uprzejmie, ale stanowczo mężczyzna, który wcześniej cały czas mu się przyglądał. — Nazywam się Xavier. Jestem nauczycielem. Możesz przyjść w każdej sprawie, która cię gnębi. Jeżeli będziesz chciał mnie znaleźć, zapytaj tylko, a każdy wskaże ci drogę do mojego domu.

Mężczyzna mówił pogodnym tonem, ale wzrokiem patrzył posępnym. Jan pomyślał, że Xavier musi

być miłym, ale smutnym człowiekiem.

Zaczął się gubić. Mówili do niego zawile i zachowywali się, jakby byli szczęśliwi, że miejscem władania potwór.

— A telewizor? — zapytał słabo.

Chciał, żeby wszyscy sobie poszli, ale najpierw musiał ich przekonać, że czuje się dobrze. Najwyraźniej dostali zlecenie od Jerry, żeby go pilnować i zamierzali je skrupulatnie wykonać.

— Nie masz telewizora — oświadczył wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna. — Nikt nie ma. Dzięki temu będę miał mniej do naprawiania. — Mrugnął do niego jednym okiem. — Jestem Ben, złota rączka, jeżeli mogę się tak nazwać. Jak się zepsuje komputer albo z sufitu zacznie kapać, wezwij mnie!

Jan pokiwał gorliwie głową, modląc się w duchu, żeby ci szaleńcy zostawili go w spokoju. Chciał uciec stąd, zanim ktoś go zabije! Bardzo chciał też sprawdzić, co jest za lasem, może uda mu się wezwać pomoc.

Obcy kolejno kończyli swoje obowiązki. Opuszczali dom, aż w końcu został tylko on i pewna kobieta. Nie zauważył jej wcześniej. Nie, pamiętał, że przyniosła coś do zjedzenia, po czym usiadła beczynnie w salonie. Popatrzył na nią spode łba. Była szczupła i średniego wzrostu. Miała blond włosy, lokowane u dołu. Oszacował jej wiek na nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Usiadła naprzeciw niego i popatrzyła łagodnie zielonoszarymi oczami. Jej nazwisko brzmiało Porter, o ile się nie mylił. Uśmiechnęła się. Niby nic szczególnego, w końcu wszyscy tutaj to robili, ale jej gest był wyjątkowy. Szczerzy.

— Nie czujesz się dobrze. — To było stwierdzenie, nawet nie pytanie.

Pokręcił głową, lecz mimo wszystko zrobiło mu się lepiej. Poczul do kobiety nagłą, niezrozumiałą sympatię.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Poza sałatką owocową — dodała pół żartem, pół serio.

— Proszę sobie pójść — wyszeptał.

Pani Porter skinęła ze zrozumieniem.

— Z czasem będzie lepiej — mruknęła, wstając.

Zerknął na nią.

— Ja tu nie zostaję — oznajmił spokojnie, głęboko patrząc jej w oczy.

Odwróciła wzrok. Nie odpowiedziała. Odeszła.

Umysł Jana ponownie zaczął pracować na pełnych obrotach. Porównał ten stan do stanu umysłu zwierzęcia ściganego przez miłego myśliwego, który przecież chce tylko zamknąć je w klatce na resztę mizernego życia.

Nie znał dobrze swojego nowego domu, więc znalezienie odpowiedniego plecaka i ubrań zajęło mu dłuższą chwilę. W szafie nie było niczego poza czarną, elegancką odzieżą. Wzdrygnął się na myśl, jakie to niepokojące. Wrzucił jeszcze kilka owoców i suchego jedzenia, a kiedy był już gotowy do drogi, usłyszał dzwonek.

Zamarł. Przestraszony wcisnął plecak pod łóżko.

W drzwiach zastał Noriko.

— Cześć — rzekła z powagą, czym zwróciła jego uwagę.

Już dawno zauważył, że w miasteczku mieszka wiele narodowości. Każdy używał swojego języka,

ale w jakiś sposób rozmówca słyszał własną mowę. Magia — przyszło mu do głowy. Ilość nadzwyczajnych rzeczy dziejących się w miasteczku nie dotarła jeszcze do mężczyzny w pełni. Nie potrafił ich ogarnąć. Jako artysta miał bujną wyobraźnię, to prawda. Wiele jego obrazów zahaczało o abstrakcję, fantasmagorie często wychodziły z głowy, by utknąć na płótnie. Ale co innego zobaczyć Jerę na obrazie, a co innego stać z nią twarzą w twarz.

— Czego chcesz? — rzucił niedbale, nerwowo spoglądając, czy wyrządzony bałagan jest bardzo widoczny

— Radzę ci być miłym.

— Bo co, wezwiesz Jerę?

— Jestem po twojej stronie — rzuciła szeptem zaskakującą odpowiedź.

— Co?

— Wierzę ci. We wszystko. Wpuścisz mnie teraz?

— Dlaczego mam ci wierzyć?

— Może cię przekonam? Ale najpierw pozwól mi wejść, zanim zacniemy wyglądać podejrzanie.

Zrobił im obojgu herbatę. Usiedli w kuchni.

— Dlaczego mnie nie ukryłaś? — zapytał Jan z przygnębieniem. Przygnębiła go myśl, że gdyby ta dziewczyna wykazała odrobinę rozważli, może byłby teraz w drodze do domu. — Mogłaś mnie przechować, a potem uciekłbym.

Noriko prychnęła z politowaniem. Spuściła głowę. Schowała twarz w dłoniach, jeszcze raz spojrzęła na chłopaka i zaczęła mówić:

— To nic by nie dało. Jeszcze tego nie rozumiesz, ale stąd nie można uciec. Wiem to, próbowałam wielokrotnie. Widzisz... to miejsce na pozór jest idealne. Mamy domy, prąd, las, rzekę, jezioro, zwierzęta. Wszyscy są tu dla siebie dobrzy. Tylko że to nie jest naprawdę. Gdyby dać każdemu własną wolę, pozabijaliby się nawzajem. Poza tym, za lasem jest mgła. Dosłownie. Ciągnie się w nieskończoność. Nie uciekłyś. Nie jesteśmy w swoim świecie. Gdybym zabrała cię do domu, prędzej czy później by się to wydało. Jera jest czujna. Ma monitoring. Obserwuje nas. Poczekaj, a zjawi się u ciebie Ben i pod pretekstem przepchania toalety zamontuje ukryte kamery.

Coraz mniej rozumiał. Balansował na krawędzi szaleństwa, ale podświadomie wiedział, że tu nie można zwariować. To zbyt proste.

— Dlaczego ona to robi?

— Nie wiem. Wiem tylko, że skoro chciała, byś tu przybył, nie pozwoli ci po prostu odejść.

— Czy chcesz powiedzieć, że już nigdy nie wrócę do domu?

Smętnie pokiwała głową.

Jej odpowiedź podziałała jak katalizator. Jan wstał i zaczął krzątać, biorąc głębokie wdechy. Nie wytrzymał napięcia i jednym ruchem zwałił wszystko ze stołu. Szkło posypało się po kafelkach, herbata oblała szafki. Chłopak upadł na kolana i zaczął warczeć głośno.

Noriko dopadła doń i próbowała go uspokoić.

— Cicho bądź, bo przybiegną sąsiedzi!

— Gównu mnie to obchodzi! — wykrzyczał chłopak i odepchnął dziewczynę. — Niech przyjdą! I ta pieprzona Jera też niech przyjdzie! Chcę do żony i mojego dziecka! Jesteście chorzy! Kłamiesz, że jesteś po mojej stronie! To jakiś głupi żart, prawda?! Robicie sobie jaja?! Jak stąd wyjść?! Powiedz mi!

Sięgnął po nóż i wyciągnął złowrogo w jej stronę.

— Nie można! — odpowiedziała zrozpaczona Noriko. — Mówię prawdę!

— To dlaczego nic nie zrobicie?!

— A co ja mogę? Reszta nie wie, co się dzieje, albo nie chce wiedzieć. Tak są w to wciągnięci, że nie ma dla nich ratunku! Pogódź się z tym, że więcej nie zobaczysz swojego domu! Lepiej udawać, niż być martwym. Ona zabija zbuntowanych, rozumiesz? Posiada wszelką moc, by zrobić to kiwnięciem palca. Nie chcę, żeby cię zabiła. Bądź sobą, ale udawaj, że jesteś jednym z nich! Nie wiesz nawet, jak cierpiałam, kiedy nie miałam nikogo, kto odwzajemniłby moje uczucia. Nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o moich prawdziwych przeżyciach! Jeśli tak bardzo chcesz, pójdziemy razem do mgły. Zobaczysz, że mam rację!

Jan zaczął się uspokajać. Wkrótce wściekłość ustąpiła miejsca łzom.

— Boże, pomóż mi. Błagam cię — szepnął do siebie.

— Tu nie ma Boga — rzekła cicho Noriko. — Tu rządzi Jera. Ona jest naszym bogiem.

Siedziała przy nim do późnej nocy, gdy leżał na kanapie z podkulonymi kolanami, patrząc w jeden punkt. Wiedziała, że to minie. Pamiętała swoją reakcję. Rozpaczała wiele, wiele tygodni. Miała wspierać rodzinę. Ubogą, ale kochającą. I nagle to wszystko zostało jej odebrane.

Słuchał czy nie, objaśniła mu działanie miasteczka, czyli codzienną prasę, którą rozwozi obrzydliwie miły i słodki Piotruś; wizyty u Jery, jeśli ta sobie tego życzy; powszednie zwyczaje mieszkańców i inne rzeczy, których Jan i tak powinien się szybko nauczyć. Przede wszystkim mogli odpoczywać, o ile nie zapomnieli posprzątać kuchni, zamieść przed domem, skosić trawnika lub zagrabić liści na jesień. Wbrew pozorom Jera nie interweniowała w ich życia, dopóki pozostawali posłuszni.

— Jutro dostaniesz od niej zaproszenie — rzuciła, wychodząc. — Lepiej się staw. Przepróż za swoje zachowanie i obiecaj, że się zmienisz. Tak będzie najlepiej. Ona cię nie zabije, jeśli nie będzie miała powodu. Nie jesteśmy tu, żeby umierać.

Miała rację, lecz czasami chciała, żeby było odwrotnie. W ich przypadku śmierć byłaby znacznie prostszym rozwiązaniem.